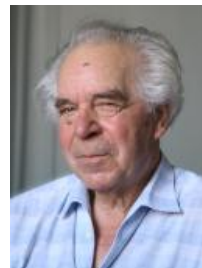


ALOJZY LESZEK GZELLA

ur. 1932; Pelplin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, PRL, Katolicki Uniwersytet Lubelski, Aleje Raławickie 14, studia, filologia polska, biblioteka, stołówka uczelniana

Studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim

Biblioteka zakładowa była otwierana o godzinie ósmej i większość zajęć rozpoczynała się o godzinie ósmej, dziewiątej rano. Dla nas polonistów związane to było może z tym, że bardzo liczny był to rok polonistyki, ponad trzystu studentów polonistyki, w związku z tym te grupy były liczne, ale i zajęcia musiały się zaczynać o wczesnych godzinach rannych. Po jakimś czasie otrzymałem stypendium żywnościowe, czyli to była możliwość korzystania ze stołówki niejako za darmo. Później jak zostałem przyjęty jako stypendysta do grona zakładowej biblioteki polonistycznej, to moja obecność o godzinie ósmej była niejako obowiązkiem.

Muszę powiedzieć, że te lata studiów bardzo angażowały nas chyba wszystkich, cały zespół studentów. Z czego to może wynikało? No przede wszystkim z takiej społecznej izolacji uniwersytetu. Uważało się, że to jest taka enklawa, że to jest, powiedzmy, coś wyjątkowego. Ta świadomość, że jest się studentem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, że jest się studentem uczelni, która jest ciągle jak gdyby obserwowana. Nam się wydawało, że jak powstał ten biały dom partyjny w Ogrodzie Saskim – bez sensu, piękny ogród, szkoda tego miejsca – to on powstał tylko dlatego, żeby przeciwstawić się KUL-owi, co nie miało żadnego pokrycia w rzeczywistości. Odczuwało się KUL jak takie izolowane miejsce, izolowany zespół, izolowaną społeczność. Jediną drogą do miasta było przejście na ulicę Chopina 27, gdzie była biblioteka KUL-u, z której trzeba było korzystać. Oczywiście te biblioteki tak zwane zakładowe były dostatecznie wyposażone w księgozbiór podręczny i nie trzeba było aż tam iść, żeby niektóre podstawowe lektury przeczytać, a tych lektur mieliśmy przecież multum. Pamiętam, że profesor Zgorzelski, który prowadził zajęcia z literatury oświecenia, później romantyzmu, na początku roku dał nam wypis literatury obowiązkowej, która liczyła ponad dwieście pozycji na cały ten rok. Większość z nich była dostępna w bibliotece zakładowej, czyli nie było takiej konieczności peregrynowania po Lublinie.

Nam wystarczała całkowicie ta atmosfera i to środowisko kulowskie, [zogniskowane] na Alejach Racławickich 14, w tym piętrowym budynku starym, który oczywiście teraz ma kształt zupełnie inny, tam tylko wykorzystano pewnie fundamenty do wzniesienia tego frontonu KUL-u. I tam zdobywaliśmy satysfakcję z uczenia się, z działalności. Szło się rano, wracało się po południu. Pamiętam jednego takiego kolegę, z Torunia zresztą, który zupełnie lekceważył ten schemat dnia, ponieważ szedł tylko rano na ćwiczenia obowiązkowe, na wykłady nie uczęszczał. I kiedy wracał z tych ćwiczeń, rozbierał się, kładł na łóżko i podsypiał. A później na obiad się wybierał i miał takie przyzwyczajenie, że koszulę, w której leżał, prasował od przodu i krawat zakładał. Taki jakiś szarmancki, śmieszny człowiek, myśmy go określali często mianem kupczyka, bo nam się wydawało, że to takie przyzwyczajenia subiekta sklepowego. No ale większość osób funkcjonowała według tego regulaminu uczelni.

Obiad od godziny dwunastej wydawano, ja miałem stypendium stołówekowe i miałem dyżury w stołówce – roznosiłem na śniadanie talerze z porcjami śniadaniowymi, to samo podczas obiadu. Za darmo dawano nam pożywienie, [żeby mieć] możliwość korzystania z tego, pracowaliśmy jako kelnerzy. A drugie stypendium to było biblioteczne – pracowałem cały czas w bibliotece. Zresztą specjalność później też robiłem biblioteczną, obok pedagogicznej specjalizacji i edytorskiej. To były takie jak gdyby równoległe, różniące się trochę zajęcia seminaryjne.

Za pomnikiem ojca świętego i prymasa Wyszyńskiego, tam w tym zapleczu, w tych podcieniach na parterze była stołówka, wydająca mnóstwo tych potraw, tych obiadów było chyba siedemset czy ileś, już tam dokładnie nie pamiętam, ale kiedy się pracowało w tej profesji kelnerskiej, to to trzeba było rozdać, trzeba było roznosić. Były takie duże tace drewniane, na które układało się talerze i roznosiło się, bo każdy student mający stypendium czy mający wykupiony bon na obiad siadał, myśmy te karteczki zbierali i później roznosili do poszczególnych stolików [posiłki]. Stoliki były cztero-, sześćoosobowe, na tę tacę wchodziło, zdaje mi się, pięć talerzy zupy, to myśmy na te rogi wkładali jeszcze dwa. Czasami one się omsknęły i nieszczęście, bo talerz w talerz spadł. Jak nosiło się drugie danie, to można było zwiększyć do jedenastu, czasami do dwunastu [ilość] tych talerzy [na tacy]. Dochodziło do jakichś konfliktowych spraw, oczywiście to przysłowiowe maczanie dużego palca w zupie klienta to było normalne, nie było czymś niecodziennym, bo takie te warunki były. Tłok był, zawsze tłok, ci studenci czekali, z jednej strony wejście, z drugiej strony wejście było, więc takimi jak gdyby turami wpuszczaliśmy tych korzystających z obiadów. Wszyscy byli głodni, wszyscy byli spragnieni szybkiego jedzenia. Pieczywo wydawało się bez ograniczeń, więc każdy tam brał po cztery kawałki pieczywa, żeby z zupą zapchać ten głód. Czasami można było dostać repetę zupy, ale my jako kelnerzy źle to traktowaliśmy, często nawet opryskliwie, że ktoś jeszcze repetę tutaj sobie życzy, nie dość, że zjada cały obiad. No ale to zawsze jest taki układ, [jak] ktoś dyryguje, to ma większą jak gdyby chęć prowadzenia i działania przeciwko.

Po prawej stronie była część profesorska, większość profesorów, którzy mieli zajęcia

w tych godzinach, korzystała ze stołówki. Nie było nic takiego, co by można powiedzieć, że było lepsze dla profesorów. To nas zawsze jakoś zaskakiwało. Na stołach było tylko [tyle więcej], że były serwety, był papier serwetkowy taki, no i pieczywo w koszykach. Profesorowie dostawali zupę w wazach i sobie sami to rozlewali, w zależności od tego, jak tam chcieli. Trochę bardziej elegancko było w tej profesorskiej części stołówki.

Pewnie od jakiegoś 1953 roku byłem dosyć pilnym obserwatorem prasy lubelskiej, nie tylko lubelskiej, ale w ogóle prasy i tam od czasu do czasu czytało się o rozmaitych procesach, które w Lublinie odbywały się i zawsze w otoczeniu pewnych propagandowych określeń wobec tych osób, które były ukarane. Czyli to ciągle w nas tkwiło, ta świadomość niebezpieczeństwa, ta świadomość, że znajdujemy się w takiej enklawie inności. Po trzecim roku studiów – w tamtym systemie studiów – otrzymywało się tak zwany dyplom ukończenia studiów przygotowujący do pracy zawodowej. A później były dwuletnie jeszcze [studia] magisterskie. Ci tacy lewicowcy z tej polonistyki, ale nie tylko z polonistyki, przenosili się na Uniwersytet Warszawski i tam uzyskiwali dyplom magistra, żeby to piętno KUL-u nie szkodziło im w uzyskiwaniu miejsc pracy po studiach.

Data i miejsce nagrania	2006-02-28, Lublin
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski, Marcin Fedorowicz
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"